

Z mojej łóż

Pani Gabriela i pani Dulska

Pani Gabriela Zapolska zapytywała w jednym z listów do mojego ojca: „jakże infant, bardzo krzyczy?” (można te słowa przeczytać wydrukowane w drugim tomie jej „Listów”). „Infant”, czyli ja, był cichym dzieckiem, mało krzyczał, za to zaraz, gdy podrosł, zainteresował się pisarką, która wówczas miała renomę gorszycielki i przez gimnazjalistów czytana była ukradkiem a zapalczywie. Chodziło o jej powieści, takie jak „Przedpiekle”, „O czym się nie mówi”. „O czym się nawet myśleć nie chce” — niemoralne, pokątnie kupowane powieści na obyczajowym indeksie, przed młodzieżą zamykane na klucz.

Także teatr Zapolskiej niegdyś tego gorszył: niedyskrecje z kuchennych schodów, wstydlive romanse, przeszczepianie paryskich komedii bulwarowych na bogobojny grunt polskiego mieszczaństwa... I czyż jeszcze podczas otwarcia krakowskiego teatru Bagatela (po pierwszej wojnie) nie oburzała „Kobieta bez skazy”, sztuka ze sfer uniwersyteckich? Wiele trudu kosztowało, by wkręcić się na widownie i podziwiać Iżę Kozłowską w pełnej temperamencie roli tytułowej.

Później czasy się zmieniły. Zła sława wokół „Kobiety bez skazy” to było jakby ostatnie echo tych opinii o pani Gabrieli, które z niej robiły demoralizatorkę społeczną. Komu dziś wadzą powieści Zapolskiej, kogo by zgorszyły, gdyby jakimś wydawnictwu przyszło na myśl je wznowić? W miarę jak rósł nasz wiek XX, skandalizująca „Fin-de-siecle'istka” klasycyzowała i dostojniała. Zawsze jej zresztą o to chodziło, pomawiano ją o wymachiwanie „sztandarem ze spódnicy”, a ona chciała być Katonem w spódnicy. Katonem obyczajowym i nawet politycznym. Piętnowała „Tresowane dusze” i egzaltowała się patriotycznie. Widziałem Aleksandra Zelwerowicza w jej „Tamtych”. Była to wspaniała rola w sztuce mało wspaniałej, którą się wszyscy zachwycali. Potem przyszedł nie mniej patriotyczny „Sybir”, ale już bez powodzenia. A potem? No cóż, „Sezonowa miłość” okazała się krucha i przelotna, „Asystent” przepadł na teatralnych egzaminach, a „Carewicz” poczuł się na właściwym miejscu dopiero jako amant filmu i operetki. Zła passa pogłębiała się. Wykpiłono aktorskie urojenia Zapolskiej i jej przesadne ambicje autorskie. Jej małosłowne zawiaści zrównano z jej rangą pisarską. Kim była Zapolska, ale tak naprawdę? „Paniusia” dla swoich kochanków, była paniusią bez cudzy-słowa w swoich poglądach, zbuntowaną mieszczością, nigdy nie wyzwoloną z myślenia mieszczańskiego. Wyszła Dulską, ale tak jak oświecona Dulka wyśmiewa Dulskie nieokrzesane i drobniomieszczańskie. Stąd nadmierne zwracanie uwagi na przydeptane papucie Dulskiej i jej chorobliwe skąpstwo. Zapolska wciąż się jakby usprawiedliwiała za awantury wyczyniane w młodości. Jej moralistyka zapachniała zakrystią i endecją. Jakby nowa Mniszkwówna, tyle że kontestująca hataśliwie.

Tak nie można. Była Zapolska z lichych powieści i kiepskich melodramatów, ale jest też Zapolska z komedii obyczajowych, które wciąż są współczesne, choć ich autorka dawno w grobie. I jest przede wszystkim „Moralność pani Dulskiej”, genialna rozprawa z dulszczyzną, która Zapolskiej zawdzięcza to niezniszczalne określenie. Tak bohaterka „sztandaru ze spódnicy” stała się „Molierem w spódnicy”, jeszcze jeden paradoks Zapolskiej.

Takiego awansu Zapolska nie przeczuwała, im bardziej była wrażliwa na krytykę, tym mniej była pewna czy pisze utwory naprawdę wybitne. Niemniej, traktowała swoje komedie jako „sztuki dobrze zrobione” i dbała, by ich nie poniewierano. Nie czepiała się drobiazgów, było jej na przykład wszystko jedno, czy Dulscy mieszkają pod Wysokim Zamkiem we Lwowie, czy w pobliżu Kopca Kościuszki w Krakowie. Jednakże w sprawach ważnych była pryncypialna.

Cóż to ma za znaczenie? Zapolska uważała się za „polskiego Zolę”, ale kto z widzów dzielejszych wytrzyma przedstawięnie w konwencji naturalizmu? Krytycy pierwsi krzyczą, że sta-



„Moralność pani Dulskiej” w Teatrze Kameralnym w Warszawie. Fot. T. Sikora

roć, nuda, muzeum. Więc trzeba szukać nowych rozwiązań. Zwłaszcza z okazji „Moralności pani Dulskiej”.

I zaczęło się. Najpierw przyszło socjologizowanie. Ze skrzywdzonej Hanki zrobiono świadomą bojowniczkę o prawa proletariatu: wypłacone jej za hańbę pieniądze rzuciła w twarz chlebobawczyni. Potem przyszło karykaturowanie: w monstrualnym mieszkaniu wyglupiali się mieszczenie groteskowi. Potem przyszło adaptowanie. Niech dobry bóg satyry wybaczy sprawcom musicalu „Jeszcze Dulska”, który do dzisiaj straszy w Teatrze Ludowym. Potem przyszło znęcanie się: Hesia i Mela znęcały się nad ojcem, pani Dulska przypominała nadzorczynię w obozie koncentracyjnym, a mieszkanie Dulskich było norą (widziałem takie przedstawienie). Teraz przyszła kolej na nowe, twórcze odczytywanie.

Krystyna Meissner w Teatrze Kameralnym w Warszawie nagięła tekst i grę aktorów do wymagań teatru Witkacego. Ludzie Zapolskiej przechodzą przez meble, są zamykani w serwantkach, wiażą pod łóże mamy Dulskiej, bądź wala się na nie w butach. Bravo! Tak należy! Zdemaskować Dulskich do dna! Niegdyś ze spódnicy emancypantki robiły sztandar, teraz spódnicy won, bo panny noszą spódnice albo mini. I nie tylko panny.

To warstwa zewnętrzna, jak odkryte uda Dulskich-junierek. O ważniejsze sprawy chodzi niż o upodobanie pań Dulskich w obnażaniu wdzięków. W co uderza „Moralność pani Dulskiej”? W koftunerie. To znaczy: w zjawisko ponadczasowe, ponadklasowe. Więc trzeba tak spreprować tekst, by nowe Dulskie (a czy ich nie ma?) mogły przejrzeć się w swoich patronkach. Ba, i z Hanką trzeba coś zrobić, niech no przestanie udawać zahukaną i potulną. Więc Hanka to utajona wydra, która, gdy złapała nielichy grosz, objawia się jako najmłodniej ubrana „panienka”.

Oklaski. Gratulacje. Tak należy. Tym bardziej że dekoracje, choć przeszkadzają w poruszaniu się aktorom, same dla siebie są pyszną kompozycją. I tym bardziej, że trafiamy aż na dwie rewelacyjne role. Nina Andrycz, którą tyle razy trzeba było krytykować za emfazę jej heroin (nawet jako chińska robotnica była królową wśród nędzarzy) zagrała panią Dulską realistycznie, mistrzowsko podkreślając groźną siłę tej matki rodu; była przy tym, jak najlustniejszej, posiadaczką szacownej kamienicy w śródmieściu, a nie właścicielką domu na jakiejś ulicy przedmiejskiej. Z kolei Irena Szczurowska też nie zdradziła Zapolskiej, gdy w lirycznej Meli ukazała wiele przyzajonego koftunstwa.

Jedno mnie tylko z racji najnowszej „Moralności pani Dulskiej” dziwi. Zapolska umiała dbać o swoje sukcesy. Poczytne powieści przerabiała na sztuki lub, jeśli chwyciły, dopisywała im dalsze ciągi. Po triumfie „Moralności pani Dulskiej” zamyslała zrobić sztukę „Hesia Dulska idzie za mąż”. Tej sztuki nie napisała, ale napisała dwa kapitalne opowiadania „Pani Dulka przed sądem” i „Śmierć Felicjana Dulskiego” — pełno tu satyry obyczajowej, a także czarnego humoru, z którym dzisiaj tak jesteśmy oswojeni. Czemu więc nikt nie wziął się do ich scenicznego zaadaptowania, czemu nie snuje się dalszego ciągu sagi Dulskich. Może by to nawet było bardziej owocne niż smażenie starej Dulskiej na wolnym ogniu pomysłów reżyserskich. Ze Anatolowi Sternowi niezbyt taki zabieg się udał? Pierwsze koty za płoty.

JASZCZ